



Mirosław Derecki

EKRAN I WIDZ: IGRASZKI W NIEDZIELNE PRZEDPOŁUDNIE

Jest niedzielny warszawski poranek 8 marca 1953 r. Trzy dni temu zmarł Józef Stalin. Miasto przybrało żałobny wygląd, ulicami ciągną pochody ze spowitymi kirem chorągwiami i portretami nieżyjącego generalissimusa, kierując się ku centrum stolicy, gdzie ma się odbyć wielki wiec. Z ulicy, spoza bram kamienic, dochodzi na ciemnawe, głębokie, czynszowe podwórka tylko odgłos dziesiątków tysięcy powolnych kroków. Tymczasem tutaj, na podwórkach - miejscu spotkań i zabaw dzieci z różnych mieszkań i różnych pięter - trwa normalny, wczesnoniedzielny rytuał: jedni szykują się do pójścia do kościoła, inni przypinają order, staruszki plotkują pod przyklepioną do jednej ze ścian kapliczką. A dzieci zwołują się do wspólnych zabaw. Ale owa zwyczajność niedzielnego poranka jest tylko pozorna, wkrótce okaże się, że echa wydarzeń dochodzących tutaj jakby z bardzo daleka znajdują swoje wyraźne odbicie i na podwórkach, i we wnętrzach domów, i życiu dużych i małych mieszkańców kamienic... Tak rozpoczyna się film Roberta Glińskiego zatytułowany „Niedzielne igraszki”.

Pomysł miał Gliński naprawdę kapitalny: ukazać przełomowy moment w historii wielu krajów, w ich życiu politycznym i także - społecznym, z pozycji „drugiego planu”. A dokładniej: z perspektywy typowego warszawskiego podwórka, stanowiącego jakby mini-model polskiego społeczeństwa ze wszystkimi jego rozwarstwieniami - klasowymi, ideologicznymi, kulturowymi i majątkowymi. Więcej jeszcze: głównymi bohaterami swojego filmu, obserwatorami, a zarazem „mediami” tego, co się dzieje naokoło, uczynił Robert Gliński nie ludzi dorosłych, ale dzieci. To one, bowiem reagują najszybciej na zachodzące wydarzenia one najłatwiej poddają się różnorodnemu kształtowaniu i one też najboleśniej odczuwają zło dziejące się w świecie dorosłych.

W „Niedzielnym igraszkach” (jakże coraz bardziej gorzko brzmi ten sielski, z pozoru, tytuł - w miarę rozwoju akcji filmu) gromada dzieci oddaje się swoim normalnym, codziennym zabawom charakterystycznym dla tamtych powojennych lat. Malcy wspinają się z małpią zręcznością po wysokich rusztowaniach, buszują po ciemnych, wilgotnych piwnicznych korytarzach, są żołnierzami Powstania Warszawskiego, i... niemieckimi żołnierzami dokonującymi egzekucji, naigrawają się z miejscowej „wariatki”.

No i, oczywiście, są w opozycji wobec jedynego na podwórku „grubasa”, zadbanego i porządnie ubranego Józia, syna doskonale zarabiającego i uhonorowanego licznymi orderami przodownika pracy; Józio ma na dodatek niedostępną dla innych strzelbę-wiatrówkę, i to wobec niego dopełnia miary zawiści ze strony dziecięcej społeczności. Syn miejscowego dozorca jest dzieckiem AK-owca odznaczonego Krzyżem Virtuti Militari i Krzyżem Walecznych; ojciec Józia nosi na piersi inne odznaczenia. Ale ta różnica jest chyba najmniej znacząca dla dzieci. Zresztą i tak wszystkie wiedzą, że matka Józia chodzi przykładowo w każdą niedzielę do kościoła, a wiszący w jej mieszkaniu wielki portret Stalina mieści, na odwrotnej stronie, tej samej wielkości obraz Matki Boskiej...

Józio, trochę mitoman trochę marzyciel, no i dziecko z kompleksem „grubasa” (czyli: „obcego”), ma wyjechać, w przedstawione w filmie niedzielne przedpołudnie, do sanatorium w Rabce. Ale żeby wreszcie naprawdę raz chociaż zaimponować rówieśnikom, przypięwszy na piersiach wszystkie ojcowskie odznaczenia oświadcza, że został wydelegowany na... pogrzeb Stalina i właśnie wyjeżdża do Moskwy. Oczywiście budzi to powszechną zazdrość, Ale Józio przełajnował: do odznaczeń ojca dodał jeszcze akowskie krzyże wypożyczone od syna dozorca...

I tutaj właśnie zaczyna się główne reżyserskie przesłanie „Niedzielnych igraszek”. Moment, w którym zło obecne w świecie dorosłych, wkracza teraz również w świat społeczności dziecięcej. Bo oto wychowawczynie, mająca zabrać Józia do Rabki, dojrzawszy na jego piersi także „wrogie” odznaczenia, zawiadamia wiadomych panów w szarych jesionkach, a ci rozpoczynają dochodzenie, zaś w jego ramach - także rewizję w domu Józia, znajdując m. in. kompromitujący „dwustronny” obraz. Józio, postawiony początkowo przez nich na czele dziecięcej gromady (naprawdę po to chyba, żeby nie przeszkadzał w rewizji i nie miał czasu na zawiadomienie matki) zostaje wkrótce, (gdy już nie jest potrzebny) „zdjęty” ze swojego „prestżowego stanowiska”. Jego rodzice natomiast zostają aresztowani, a on sam jedzie teraz nie do Rabki, lecz do Domu Dziecka...

Nie to jest jednak dla Glińskiego najważniejsze. Zło i przemoc rodzi reakcję: także zło i przemoc; agresja - agresję - wydaje się mówić reżyser. Zło tym bardziej się potęguje, gdy pada na niewinną glebę, kiedy jest zaszczerpione na organizmie młodym... Gromada dzieci, biegająca na początku filmu beztrąsko po rusztowaniach, w jego finale doprowadza do zamordowania ulubionego kotka, a wreszcie - w okrutny sposób, (choć może bez pełnej świadomości swego czynu) zagrzebuje w stercie piasku „zabójczynię” zwierzątka.

„Niedzielne igraszki” są nakręcone w sposób dynamiczny, z wielkim wyczuciem reżyserskiego warsztatu, (choć reżyser jest człowiekiem młodym, urodził się w 1852 r., a film powstał w roku 1983), z mali aktorzy wywiązują się doskonale ze swoich ról, co znowu, jest

zasługą reżysera. Nic dziwnego, że film otrzymał w ubiegłym roku „Wawrzyn 86”, przyznany przez tygodnik „Radar”, w roku 1987 - Grand Prix na festiwalu „Młode Kino Polskie 86” w Gdańsku, a podczas wrześniowego, XII Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych odbywającego się w Gdyni, przyznali mu akredytowani tutaj dziennikarze wyróżnienie (nagroda dziennikarzy przypadła „Matce Królów” Janusza Zaorskiego).

Są jednak w „Niedzielnym igraszkach” różne potknięcia i dyskusyjne miejsca o jakich nie można tutaj nie wspomnieć.

Należy może zacząć od tezy, wypowiedzianej przez samego reżysera, że jego film jest pewnym uogólnieniem na temat rodzącego się i rozwijającego się zła, agresji, przemocy, ucisku, manipulowania ludźmi. Że nie należy traktować „Niedzielnym igraszkach” jako filmu zdecydowanie zakotwiczonego w określonym czasie i miejscu. I że wobec tego wolno było sobie pozwolić jako reżyserowi na pewne dowolność i odstępstwa od realiów z początku lat pięćdziesiątych.

Ale w którymś miejscu owa „dowolność”, zmierzająca do filozoficznego uogólnienia, zaczyna rzutować na błędne wyobrażenia widza o realiach okresu, który film bierze sobie jednak nader wyraźnie za punkt wyjścia. Oczywiście „podwójny obraz” z mieszkania rodziców Józia można, i trzeba chyba, odczytywać jako wielką metaforę. Metaforycznie można odbierać „zbitkę” orderów - tych „ludowych” i tych „akowskich” – na jego piersi. Aliści dziwnym mi się wydaje, że reżyser „uogólnia” swoje przesłanie, ubierając np. jednego z chłopców w mundur harcerek czy wymagając od charakteryzatorów alby „przerabiali” małych aktorów na umorusane niczym nieboskie stworzenia, czupiradła, a także, by dzieci w niedzielne przedpołudnie harcowały po całym podwórku wraz z przyległościami.

Po pierwsze, nikt wówczas mundurka harcerek nie nosił (na co zresztą zwracali już uwagę inni recenzenci), bo skautowe harcerstwo zostało przed kilku laty zlikwidowane, a nałożenie harcerek chusty, sznura i lilijki spowodowałyby na pewno poważniejsze konsekwencje niż przypięcie na piersi Virtuti (notabene skąd ów „problem”? – wszak krzyże Virtuti Militari, wprowadzane z orłem bez korony ale kto by na taki drobny szczegół zwrócił uwagę, przyznawano także podczas wojny w ludowym wojsku). Po drugie – żadne z dzieci w jako tako szanującym się mieście, w 1953 r. nie byłoby w niedzielne przedpołudnie wypuszczone nie umyte na podwórko czy na ulicę. Po trzecie – w niedzielne przedpołudnie dzieci – z wyjątkiem naprawdę bardzo wówczas nielicznych – było prowadzone przez rodziców za rękę do kościoła. A starsze chodziły tam z własnej, nieprzymuszonej woli, a także dlatego, że odbiłoby się to na ich stopniu z religii (choć w 1953 r. stopnie te – o ile pamiętam - nie były już uwidaczniane na świadectwach szkolnych). Już nie mówiąc o takich „drobnostkach” jak ta, że na początku marca jest jeszcze w Polsce zimna i nikt nie wyszedłby

wówczas z domu w krótkich harcerskich spodenkach i z gołymi nogami. I proszę mi także pokazać harcerza, który brałby udział w dręczeniu czy choćby w dyskusji na temat dręczenia jakiegokolwiek zwierzęcia? (Na co zresztą zwrócił uwagę „Arcitenens” na łamach tygodnika „Film”).

Te wszystkie „drobne” na pozór szczegóły są, w istocie rzeczy, wcale nie takie drobne dla wizerunku konkretnego społeczeństwa i konkretnych czasów i ja to odbieram wcale nie jako uzasadnione „dowolności”, założone celowo przez reżysera. Ale po prostu jako brak z jego strony pełnej wiedzy o tamtych realiach. A jeszcze: któreż to dziecko zwracało się w owych czasach do drugiego obraźliwie: „ty pedale”?! (Co również powtarzam za redaktorem „Arcitenensu”, bo może mógłbym być posadzony o plagiat - przyp. M. D.). A że tak mówią do siebie dzisiaj? Czy wkładanie postaciom osadzonym w 1953 r do ust tego „współczesnego” zwrotu - to jeszcze jeden sposób na tezę „uogólnienia”?

Robert Gliński zrobił film bardzo interesujący, ambitny i taki, „który się ogląda”. Film głęboko - nie wątpię w to - zaangażowany w zawiłe sprawy naszej najnowszej historii. Ale chwilami zbyt starał się epatować widza, za bardzo nim „wstrząsnąć”. Dlatego nie mogę traktować filmu, jako dzieła w pełni dopracowanego i przeżytego przez reżysera. Mimo wszystko jednak „Igraszki” Glińskiego to efektowny, z talentem zrobiony, szkic filmowy. Ale jeszcze nie dojrzały obraz namalowany przez Janusza Zaorskiego, twórcę „Matki Królów”. Owego filmu, który można przecież odczytywać także jako wielkie uogólnienie.

PS. Ostatnio, na Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Mannheim (RFN), który odbył się w październiku br. „Niedzielne igraszki” otrzymały aż cztery nagrody. Jury międzynarodowe przyznało filmowi „Złoty Dukat” otrzymał on także nagrodę FIPRESCI nagrodę Jury Uniwersytetów Ludowych RFN oraz Międzynarodową Katolicką Nagrodę Filmową.

Pierwodruk: „Kamena”, 1987, nr 23, s. 6-7.